ROZMAITOŚCI.

Dnia 26. Listopada — Nr 48. — Roku 1842.

Wspomnienia wojskowe.

VIII.

Już przeszło lat dwadzieścia, jak potężnego niegdyś monarchę przykrył kamień grobowy na wyspie Sw. Heleny, a chociaż od tego czasu tysiączne tony głosiły Jego olbrzymie dzieła; każde dotąd nowe o Nim wspomnienie, chciwie jest czytane, bo zapewne wieki ubiegną, nim na naszym horyzoncie zjawi się podobny jenijusz; kto więc z żyjących był świadkiem czynów tego wielkiego bohatera, kto tylko miał choćby najmniejszy udział w Jego nieśmiertelnych dziełach, powinien dla potomności skreślić swoje wspomnienia; bo czas idąc niewstrzymanym krokiem, otwiéra codziennie groby współczesnym tego wielkiego męża, z którymi może nie jedne ciekawe wspomnienie już zasypane zostało!

Ta jedynie myśl podaje mi pióro do ręki, ażebym skréślił parę zdarzeń wojskowych, w których miałem osobisty udział.

W roku 1812 po kilko-tygodniowym pobycie w zniszczonéj stolicy Carów, opuściliśmy z Cesarzem Kremlin udając się z główną armiją gościńcem do Małego-Jarosławca. To miasto jest położone na wzgórzu, pod nim biegnie mała rzéczka, od strony Moskwy są obszérne pola; tam korpus 4ty księcia Eugeniusza idąc w awantgardzie, wstrzymany został przez wojska rossyjskie; wszczęła się zacięta bitwa pod samém miastem; ta trwała z równą przewagą do późnéj nocy, aż nakoniec po krwawych usiłowaniach wice-król włoski utrzymał plac boju, osadziwszy miasto swoim żołniérzem. —Byłoto dnia 24. października. Cesarz nocował w małéj wiosce o ćwierć mili odległéj od Małego-Jarosławca, przy Nim, jak zwykle, piesza gwardyja obozowała, i po jednym szwadronie służbowym z każdego pułku konnego gwardyi.

Znajdowałem się dnia tego z służbowym szwadronem gwardyi ułanów polskich pod komendą szefa Kozietulskiego, który i drugim szwadronem strzelców konnych gwardyi dowodził. Wieczór był cichy, powietrze dotąd mieliśmy łagodne, od czasu do czasu padały wystrzały ręcznéj broni na przednich czatach, a gdy noc ciemna zapadła, tysiące ogni obozowych zajaśniało na przestrzeni milowéj, przy których wielka armija Napoleona dotąd niezwalczona, spokojnie spoczywała; któż z nas mógł się spodziéwać, że za dni kilka, burze północne tym wojskom potężnym tak zmienną nadadzą postać!

Skoro świtać zaczęło, Cesarz chciał się osobiście przekonać o poruszeniach wójsk nieprzyjacielskich; rozkazał memu szwadronowi wsiąść na koń i sam dosiadłszy siwego Araba, ruszył na czele szwadronu, przy nim był tylko jenerał Rapp, szef szwadronu Kozietulski, Mameluk Rustan i jeden oficer ordynansowy; reszta służby pozostała w obozie. Poszliśmy wielkim gościńcem do Małego-Jarosławca, mając po lewéj ręce odkryte pola, po prawéj kraj krzakami zarosły; kiedy tak kłusem postępujemy, powstaje raptownie w zaroślach głośne Kozaków hurra! i w jednéj chwili już ich liczne hordy pędzą ku nam ze złożonémi do ataku pikami; cofnął się Cesarz w środek szwadronu, rozkazując wsteczne poruszenie do pieszéj gwardyi. Jenerał Rapp i Mameluk Rustan dobywają pałaszy, szef szwadronu

Kozietulski formując szwadron, zostaje piką w ramię przebity, kilku żołniérzy pada od strzałów z janczarek; porwaliśmy szefa Kozietulskiego wśrodek szwadronu, a otoczywszy Cesarza, nadstawiamy lance; gdy jednak Kozaki ze wszystkich stron zaczęli dociérać, rozkazałem żołniérzom dawać ognia z ręcznéj broni; to ich natarcie wstrzymuje i w téj chwili nadchodzą inne szwadrony służbowe; wtenczas zwróciwszy konie, strącamy kilkunastu Kozaków lancami, i całą hordę przeganiamy daleko w krzaki.

W chwili, kiedy jenerał Rapp i Mameluk Rustan dobyli pałaszy obok Cesarza, kiedy świst kul kozackich przelatywał nasze szeregi, spojrzałem na Niego, twarz jego była jak zawsze spokojna, takim widzieliśmy Go w szczęśliwych i smutnych przygodach, takim był w sile młodego wieku na moście pod Arcole, takim był jeszcze w roku 1814 w bitwie pod Monteron, kiedy pod ogniem armatnim kierując działem, rzekł do trwożących się o Jego życie żołniérzy: »Naprzód towarzysze, kula dla mnie przeznaczona, jeszcze ulaną nie jest.«

S. H....

ŁAŃCUCH.

Mam powieść dla was, którą wy wprawdzie znacie, ale tylko tak, jak świat ją powtarza. Słyszeliście, że dzwonią, lecz nie wiécie w którym kościele. Opowiém wam dzieje biédnego Ludwika. Nikt go tak dokładnie nie znał, jak ja, a tą powieścią uświęcę pamięć o nim. Miałem zaszczyt być wtenczas jego przyjacielem, gdy się zakochał w pannie Celestynie, i nie zaniechałem téj przyjaźni nawet po owym słynnym wypadku, który tyle narobił zgorszenia; jam wiedział, iż on nie jest ani awanturnikiem ani podłym oszustem, jak to go wielu nazywało. Ludwik był szczéry, otwarty, czasem roztargniony, i, już w piérwszych dniach powierzył mi swą tajemnicę. Przyszedłem raz do jego mieszkania, zastałem go w dziwném wzruszeniu; zapytany o przyczynę, powiedział mi: »Drogi przyjacielu, jam się zakochał.« Roześmiałem się, bo niéraz mi bywało to samo mawiał; lecz on z właściwą sobie otwartością, dodał: »O, co teraz, tom się na prawdę zakochał.«—»Gdyby w samej istocie tak było«, odrzekłem, »tobyś mi o tém nic nie powiedział.« Lecz ja znałem go dobrze, nie mógł on żadnéj tajemnicy zachować. Czy go radość spotkała, czy dotknął smutek, nie przeniósł tego na sobie, aby się swoim przyjaciołom nie zwierzył. Ja stałem się żyjącą kroniką jego miłości. Ludwik widywał często panienkę, którą uwielbiał, najczęściéj u państwa Mińskich, bogatych obywatelstwa z Podola. Pan Miński, dawniéj sławny burda i rębacz, drugi Lovelace, postrach wszystkich małżonków, skończywszy piąty krzyżyk, w nagrodę dawnych zwycięztw, ożenił się był z niemłodą, suchą, wysoką, smagławą, lecz bogatą panną Barbarą, która w czasie długiego panieństwa cicha, skromna i pobożna, skoro wróciła od ślubu, umiała ująć w karby pana męża, sama była głową w domu, a pan Miński chcąc nie chcąc uniżonym sługą, a nawet musiał spokojnie się przypatrywać, jak zacna jego połowica stroiła firleje, a osiadłszy w stolicy, zgromadzała koło siebie młodzież; salony państwa Mińskich były zawsze otwarte, a *soirée* i bale następowały po balach.

Przypominacie sobie zapewne, jak czasem dziwacznie wesoły, czasem fantastyczny bywał Ludwik, równie jak i jego piękne przymioty, niéraz na myśl wam przyjść musiały, chociaż świat na nie rzucał nie bardzo korzystne światło. Niéraz gdy się między dobrymi przyjaciołmi zgadało o dziwaczném a przecie poczciwém życiu Ludwika, to przy opowiadaniu minął nam wieczór cały. Pochodził on z znakomitéj familii, posiadał dawniéj majątek, jak to po jego wychowaniu wnosić było można, lecz późniéj podupadł tak, iż nawet tego nie mógł zataić. Często przyjaciele czynili go uważnym, iż źle gospodaruje majątkiem. Późniéj uwagi te były zbyteczne, bo Ludwik już nie miał nic do stracenia. Ostatni bywało reński wydał za batożek, którego nie potrzebował, gdyż nigdy nie jeździł na koniu. Pamiętam, raz kupił sobie dużą szafę, którą po jakimś zmarłym negocyjancie sprzedano; byłto jakiś rodzaj pułki na książki, a w niéj rozmaite papiéry, z klejonek zielone szuflady i szufladki z napisami, numerowane; szafa ta zajmowała pół pokoju, w którym prócz dwóch krzeseł i łóżka, nic więcéj nie było.—»A to co znaczy?« zapytałem zdziwiony wchodząc do niego. Z wyrazem, w którym się zupełne zadowolenie malowało, odrzekł mi: »Chcę przecież raz przyjść do porządku. Już od dawna potrzeba takiéj pułki dawała mi się uczuć. Nié ma nic nad porządek i domową wygodę! Wkrótce będę próbował szczęścia, może mi się powiedzie; wtenczas w tę szafę będę chował moje papiéry« — a otwiérając drzwi od pułek, dodał: »Patrz przyjacielu, oto jest miejsce na książki podręczne: jak kalendarze, słowniki i tym podobne — a to są oddzielne pułki na papiéry familijne: ugody,

ważne listy, inwentarze dóbr, kwity, rewersa, kontrakty possesyjne.....“ i tak daléj wyliczał mi przeznaczenie każdéj pułki, wysuwał szufladę po szufladzie, wszystkie były próżne, z ostatniéj tylko wyleciała karteczka. — »Do stu katów!« zawołał Ludwik, czytając kartkę, »już czas, aby zastaw wykupić, jestto bogata kamieniami wysadzana damascenka, którą jakiś mój pra-pradziad zdobył był na Turkach, a która mnie się po ojcu dostała.«—Roześmiałem się w głos, cała szafa służyła jedynie na schowek kartki zastawowéj! Innym razem, właśnie gdy jego miłość ku niebiańskiéj dziewicy (Celestyna było jéj na imię), w całym blasku się promieniła, a on jeszcze nie miał wstępu do domu, wsiadywał wieczorem do jednego z fijakrów, które stały niedaleko domu kochanki, i całémi godzinami wpatrywał się w okna. Firanki bywały spuszczone, a Ludwik każdy cień, który się tylko przemknął w oknach, mniemał być cieniem kochanéj; i szczęśliwy, upojony radością, wracał do domu po kilku godzinnéj placówce w fijakrze. Razu pewnego dowiedział się był, iż państwo Korniccy (tak się nazywali wujostwo, u których Celestyna przebywała), zaproszeni nazajutrz na bal, lecz do kogo, nie mógł się biédny wywiedzieć. I na drugi dzień, skoro się tylko zmiérzchało, zajął Ludwik swoje stanowisko w fijakrze. Już oprócz wpatrywania się w okno, co innego miał jeszcze na myśli. Chciał widzieć ustrojoną, wsiadającą do powozu kochankę, chciał wślad za nimi jechać, by się dowiedzieć, gdzie państwo Korniccy będą na balu. Byłoto w styczniu, mróz był ostry; Ludwik już od dwóch godzin siedząc w fijakrze, owinięty w lekki płaszcz, wpatrywał się to w okna, to w drzwi domu, a nie mogąc się wsiadania państwa Kornickich doczekać, zaczął układać czułe bardzo wiérsze do swéj niebianki. W całym blasku zstąpiło na niego natchnienie; wnet mruczał, wnet w głos deklamował, wzrok to wznosił ku niebu, to spuszczał na dół, a chociaż miał oczy széroko rozwarte, przecie nic nie widział przed sobą. Tak ani skrzypniecie drzwi, ani światło latarni, ani białe futro na drogiéj mu szyi, ani głosy wsiadających, nie zdołały go z natchnienia obudzić, z nieba przywołać na ziemię, dopóki aż nie skończył swojéj ody do niebianki, dopóki jéj nie powtórzył po trzykroć, aby ją lepiéj spamiętać. W końcu czas wydał mu się za długi, popatrzył na zégarek, już było po dziesiątéj. Wypytuje woźnicę, czy nie widział kogo wychodzącego z domu, a gdy ten mu opowiada, iż jacyś państwo powozem z tąd odjechali, Ludwik wpada w okropną złość, łaje woźnicę, który o niczém nic nie wié, wszczyna się kłótnia, a na coraz większy hałas zbiéga się reszta fijakrów i mnóstwo przechodzących ludzi. Ludwik w złości wyskakuje z powozu, i chce się usunąć z tego zbiegowiska. Woźnica chwyta go i każe sobie zapłacić, a Ludwik rozgniewany bez przytomności rzuca mu sakiewkę, w któréj były calo-miesięczne od wuja mu nadesłane pieniądze.

Przyczyna nieszczęść Ludwika, była jakaś pani Rachmielska, o któréj pochodzeniu i majątku rozmaite opowiadano rzeczy. Ojciec jéj męża w zamieszkach krajowych, miał się trudnić szacherką i liwerunkiem, a tak znaczne zebrał kapitały, poczém wraz z rodziną swoją porzucił wiarę przodków swoich, syn zaś a mąż pani Rachmielskiéj, kupił sobie baronostwo i piękne dobra, a podczas gdy pan baron na wsi pędził i mierzył wódkę, karmił woły; pani baronowa wraz z jedynaczką córką, osiadła w stolicy, chcąc swém bogactwem błyszczéć na wielkim świecie i dla małéj, chudéj, trochę nawet garbatéj córki, która jeszcze przed dziesięciu laty miała lat szesnaście, wyszukać męża, coby choć nie majątkiem, to przynajmniéj piękném i dawném imieniem się odznaczał. Ludwik matkę i córkę spotykał często u państwa Mińskich, z którymi baronostwo na wsi sąsiadywali, i z nudów rozmawiał bywało z niémi, czasem nawet po całych godzinach, bo obie odziedziczyły były po przodkach swoich dosyć złośliwego dowcipu i nie tak łatwo dawały upaść rozmowie. Kilka takich spotkań, dostateczném było dla Ludwika, znaléźć ich towarzystwo nieznośném, a dla baronowéj wybrać młodego, przystojnego i dobrego imienia Ludwika na zięcia. Przez swą dobroć, sam się zapłątał w matnię. Tańczył pięknie, lecz rzadko kiedy. Jednego wieczora na balu u państwa Mińskich spostrzegł, jak panna Rachmielska od rozpoczęcia tańców jakby przyrosła do krzesła; biédaczka nie umiała nawet pokryć swéj rozpaczy. Ludwik ulitował się nad nią i podał jéj rękę do tańcu, w nagrodę otrzymał słodziutki uśmiéch. Od téj chwili baronowa radziła się wszystkich znajomych: jak ma przyjmować pana Ludwika, który się o jéj córkę stara? Doszło to uszu Ludwika, wszystko wydało mu się za nadto śmiészném, on milczał, a milczenie jego uważano za przyznanie się. Już przyjaciółki salonowe z ust do ust podawały sobie wieści o nowym maryjażu, a przyjaciele Ludwika to z przycinkiem, to szczérze życzyli mu szczęścia do tak świetnéj partyi. Zalotna pani Mińska, która od dawna rzucała oczko na pięknego pana Ludwika, teraz z ukosa nań patrzyła, a gdy pani baronowa prosiła ją o radę, jako szczéra, otwarta i bezinteresowna przyjaciółka wbrew jéj powiedziała, iż tak piękna dziéwica, jak panna Ra-

chmielska, warta męża, któryby nietylko świetne imię, ale i majątek posiadał. Wprawdzie w odpowiedź wyliczyła pani baronowa kilka bardzo świetnych partyj, które jéj córka odrzuciła, to nie chcąc tak wcześnie iść za mąż, to nie czując żadnego sentymentu — lecz w końcu dodała: »Iż pan Ludwik posiada tak piękne przymioty serca i duszy, tak się wyszczególnia swobodném znalezieniem się w salonach, iż, jeźli tylko jéj córka nie będzie od tego, to o tém na *serio* pomyśléć potrzeba, nic jednak nie zrobię bez porady pani dobrodziéjki.«

Zupełnie inaczéj szyki się zmieniły, gdy Ludwik ujrzał pannę Celestynę. Byłoto na wieczorze, który pani Rachmielska wkrótce dała, a na który i on był zaproszony, chociaż pani baronowéj poprzednio nie złożył wizyty. Sam nie wiedział o tém, iż cały wieczór zajęty był jedynie panna Celestyna, ale tém lepiéj uważała to gospodyni domu i jéj przyjaciółki. W salonie mówiono o tém tém bardziéj, że niedawno temu krążyła wieść o mniemanych zamiarach i affektach do panny Rachmielskiéj.

Celestyna występywała na wielkim świecie w najpiękniejszych strojach; wysmukła jak topol, płeć jéj była ćmiącéj białości; oko duże, czarne, a włos w jasnych pierścieniach spadał na ramiona, i właśnie ten kontrast blond włosów a czarnéj źrenicy, podnosił bardzo jéj piękność. Na kształtnie wypukłém czole wyczytałbyś myśl każdą; tak gdy weszła na salę, dla Ludwika była jutrzenką życia. Cały świat wiedział o jego miłości, piérwéj niżeli on sam siebie pojąć zdołał. Jednakowo pani baronowa i córka nie straciły ze wszystkiém nadziei. Osobliwie mała, sucha Klarka, z całą zapalczywością brzydkiéj kobiéty przyczépiła się do myśli, iż Ludwik jéj mężem zostanie, i postanowiła nie tak łatwo puścić swą ofiarę na wolność. Kilka przyjaciółek wciągnięto w ten spisek i rozpoczęto sprawę odporną krzyżowym ogniem złośliwych przycinków i oczernień. Ludwikowi z kilka stron podszepnięto, że panna Celestyna zwykle narzuca się mężczyznom, a państwu Kornickim i Celestynie, iż Ludwik jest rycerzem bez majątku i podejrzanego pochodzenia, który tylko panny i mężatki bałamuci.

W saméj istocie o stosunkach familijnych Ludwika nikt prawie nie wiedział, i mnie często zbiérała ochota, przedrzéć tę tajemniczą zasłonę. Jedna tylko przebiegła pani Rachmielska, zdołała dociec prawdy. Ludwik był potomkiem starożytnéj familii; dziad jego na dworze Stasława, stracił większą część ogromnego majątku, a ojciec po roku 1795 udał się był w podróż za granicę, gdzie się ożenił z panną Wierzyńska, córką obywatela, który z powodu ostatnich nieszczęść w ojczyźnie, stracił majątek i musiał wyjechać z kraju. Po kilku latach nieszczęśliwego z sobą pożycia, ojciec Ludwika porzucił żonę i syna, którzy powrócili do kraju i osiedli przy krewnych. Ojciec długi czas jeszcze włóczył się po całéj Europie, pędził ostatkiem majątku, w końcu i słuch o nim zaginał. Matka Ludwika wkrótce umarła z zgryzoty, on wychowany był u wuja; ojca nie wiele znał, a z maleńkości nasłuchawszy się o nim wiele złego, nigdy o nim ani spomniał; zapytany nieraz od przyjaciół, gdzie ojciec jego przebywa, zawsze milczeniem odpowiadał. To było powodem, iż mszcząca się pani Rachmielska jak piérwéj jego imię wynosiła, tak teraz rzucała jakieś domysły o podejrzaném pochodzeniu. Ludwik odebrał w domu wuja wychowanie pańskie, a gdy dorósł lat dwudziestu cztérech, wyznaczywszy mu nie wielką roczną pensyję, stary a skąpy wuj wysłał go do stolicy, aby na wielkim świecie dokończył swojego wychowania i próbował szczęścia.

Po ostatnim wieczorze u Rachmielskich, państwo Mińscy wyprawili bal, na któryśmy wszyscy byli zaproszeni. Wtajemniczony we wszystkie stosunki wiedziałem, iż tego wieczora walna stoczy się bitwa. Nie wiedziano, iż ja z Ludwikiem w tak ścisłéj zostaję przyjaźni. Celestyna przybyła z wujostwem i usiadła po prawéj stronie sali; wkrótce potém ukazała się pani baronowa z córką; usadowiły się wprost naprzeciw. Mnie się wydało, że ustawiano figury do partyi szachów; wcisnąłem się w kącik i pilnie uważałem co się stanie; zmierzono się najpiérw oczyma, jak strzałami przeszywano się na wzajem spojrzeniem. Baronowa nachyliła się ku Klarce i poczęła szeptać jéj coś w ucho, złośliwie się uśmiéchając.... widocznie przeszydzano stroje Celestyny. Z jakiéjś odmiany kwiatów czyniono rozmaite wnioski. Pani Mińska biegała od jednéj nieprzyjacielskiéj bateryi do drugiéj dodając odwagi; rozżarzała jeszcze więcéj ogień i kopała miny ukryte; sama zazdrośna o Ludwika, w duszy przychylniejszą była baronowéj; może dla tego, iż wiedziała, że prędzéj zdoła odnieść późniéj zwycięztwo nad brzydką baronówną, niż nad piękną Celestyną. Mówiąc prawdę, na te wszystkie zabiegi patrzyła Celestyna z pogardą; w oczekiwaniu zwracała ciągle oko ku drzwiom. Ludwika jeszcze nie było. Bankietował, jak się to mówi, u dobrych przyjaciół; wprawdzie zastrzegł sobie, iż tylko do ósméj godziny zabawi, ale hulanka była wesoła, śmiano się, wychylano rozmaite toasty, a o godzinach wszyscy zapomnieli. Już było późno — Ludwik ubrawszy się z pospiechem, wszedł na salę; włos jego był w nieładzie,

chustka niedbale zawiązana, twarz pałała, a oczy mu się iskrzyły. Spostrzegłem zaraz, iż jest w różowym humorze. Goście balowi zebrali się koło dwóch dziewic, które się w śpiéwie popisywały. Ludwik zatrzymał się przy wchodzie, aby mi opowiedzieć swoję przygodę. Gdy tak wesoło ze mną rozmawia, ja mogłem uważać wszystkie spojrzenia, które na niego, jako na przedmiot dzisiejszéj walki rzucano. Śpiéw umilkł, a Ludwik postąpił daléj, by powitać znajomych. Właśnie zbliżał się do panny Celestyny, gdy zyzo-oka Klarka wbiegła między nich i rywalce kilka pochlebnych grzeczności na dzisiejszy jéj strój powiedziała. Przyczépiła się do niéj i już o niczém innem nie można było wszcząć rozmowy, jak tylko o strojach i modach. — »Co za piękny łańcuch ma pani na szyi« — ozwała się Celesta ze szczérym udziałem do Klarki.— W saméj istocie łańcuch ten był bardzo piękny, prawdziwie weneckiéj roboty, a co go jeszcze rzadszym czyniło, że miał w przedziałach oprawne staro-weneckie cekiny. Klarka zapewniała, iż to jest bardzo klejnot rzadki. Na co Celesta odrzekła: że jest zaiste bardzo rzadki, gdyż nadaremnie jéj wuj z rożnych stolic europejskich zapisywał dla niéj taki łańcuch, a nigdzie go nie można było dostać, bo już wyszedł z handlu. — »Dziad mój wywiózł go z Amsterdamu«, rzekła Klarka.

Dalszą rozmowę przerwała muzyka. Ludwik stanął do tańca z Celestą, która mu jeszcze po dwakroć rzekła: »O jakże piękny jest ten łańcuch. Widziałam go dawniéj u Klarki; i od dwóch lat starałam się o podobny« — i smutnie dodała, »ale dostać nigdzie nie mogłam.«

Zaczęli tańczyć; nie wiém co z sobą kochankowie rozmawiali; późniéj mówił mi Ludwik, iż po raz piérwszy wyjawili sobie uczucia wzajemne. Myślę nawet, iż Celesta ścisnęła go za rękę, ponieważ zbladł bardzo, gdy mu późniéj o Klarze napomknęła. Celesta nigdy nie wydawała mu się tak piękną, nigdy promienie jéj oczu nie wpadły mu tak głęboko do duszy. Po kontradansie oparł się o podwoje i w rozkosznym zapomnieniu się zatapiał bez przestanku myśl w czystym wzroku, który tęskno ku niemu się zwracał. Nic więcéj nie widział i nie słyszał. Uważałem, iż miłość pozbawiła go rozumu; sucha Klarka pilnie baczyła na wszystko. Obok Celesty powstała jakaś matrona i udała się do innych pokoi, przezco krzesło opróżnioném zostało. Na ledwo dostrzeżony znak, zajął Ludwik to miejsce; lecz baronowa nie mogąc wstrzymać swéj złości, zerwała się z naprzeciw stojącéj kanapy i zbliżywszy się do Celesty, przymusiła Ludwika do ustąpienia jéj krzesła. Mówiła z Celestą długo i z wielkiém zajęciem. Ludwik nie wątpił, iż o nim była mowa, lecz daremnie potwierdzenie tego domysłu chciał wyczytać w twarzy i w oczach kochanki. Zapomniałem powiedzieć, iż z Klarą przez cały wieczór ani mówił ani tańczył. Matka i córka to czerwieniły się, to bladły ze złości. Ludwik dopiéro przy końcu balu mógł się zbliżyć do swéj niebianki, zapytał z razu nieśmiało, o czém baronowa z takiem zajęciem mówiła. Celesta nie chciała mówić, lecz na coraz usilniejsze prośby, w końcu się ozwała: »Same niedorzeczności, daremnieby się pan tylko martwił«, lecz gdy Ludwik coraz więcéj nalégał: »Tysiączne oczernienia. Że pan nie masz majątku; lecz co mnie to obchodzi, że coś tam pański ojciec...... lecz o Boże, ja to panu mówię...... a pan bledniesz. Prosze pana, ja znam panią baronowę...... wiém jaka jest ona. Uspokój się pan.«

Zimna dreszcz przejęła Ludwika, krew uderzyła mu do głowy, oczy zciemniały, słowa przemówić nie mógł, chciał się uśmiéchnąć, ale śmiéch zastygł na ustach, twarz skrzywiła się boleśnie. Słowa: »bez majątku«, jak piorun wpadły mu do duszy, i mniemał, że postępki ojca jego wszystkim są wiadome. Darmo mówiła Celesta: »O Boże, ja przewidywałam, iż to pana zmartwi, przebacz mi pan, jam nieroztropna.« Ludwik nic nie słyszał, nie pożegnał kochanki, usiadł w kącie, nie mogąc pokryć wewnętrznéj burzy. Celesta odchodząc, nie śmiała rzucić pożegnawczego spojrzenia. Pani Rachmielska z urąganiem spojrzała na Ludwika, a gdy podniósł głowę, oko jego padło na łańcuch, który Celesta tak wychwalała, a który posiadać daremnie sobie życzyła; ten drogi klejnot wisiał na szyi nienawistnéj Klary, i zajmował, jak się Ludwikowi zdawało, tak niegodne miejsce.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZPRAWA

o paleniu fajki w Oryjencie.

Z ANGIELSKIEGO.

Indyjskie *hukah,* perskie *nardżilly,* egipskie *sziszah*, tureckie *cybuchy*, niemieckie *merszaumy,* holenderskie *fajki*, hiszpańskie *cygary* — wszystko to znam i próbowałem. Nigdzie nie doprowadzono sztuki kurzenia do takiéj doskonałości, jak w Oryjencie. Zważając na podejrźliwą pogardę, z jaką Mahometanie wszelką nowość przyjmują, zdawało mi się nieraz, że nie może być, aby wschodnie narody nie znały daleko wcześniej tytoniu, nim go Raleigh Zachodowi dał poznać. Jednak pewne miejsce

w książce starego Saudy, przekonało mnie o przeciwności. Sławny ten podróżnik uskarza się na zły gatunek oryjentalnych tytoniów, co, jak powiada z tąd jedynie pochodzi, że cała Turcyja zazwyczaj tylko najpośledniejszémi resztkami europejskich targów zaopatrzoną bywa. Teraz wszakże najwyborniejszy tytoń w świecie, rośnie na brzegach Syryi.

Ciekawy jestem, co oni téż robili wprzódy w Oryjencie, nie znając jeszcze lulki?

Dziś zacząwszy od wielu-buńczucznego paszy, z swoim cybuchem, o bursztynowéj pipce, o brylantowéj osadzie i dłuższym niźli kozacka pika, aż do prostego Araba, co tam niebieskim przyodziany łachmanem, ssie swój krótki cybuszek z przewierconego daktylowego patyka — od Stambułu aż do wielkiego Kairu, nie masz tylko jedno źródło pociechy. Robisz gdzie wizytę w Oryjencie, podają ci fajkę z tą samą punktualnością, z jaką u nas krzesełko. Z fajką zaś, osobliwie w znaczniejszych domach, idzie zaraz cała uroczysta procesyja: najprzód kilku pstro poubiéranych niewolników z zapalonémi lulkami, machając niémi nieustannie, dla rozniecenia ognia; daléj inni z wazami rożno-barwnych serbetów, pomiędzy niémi piérwszy marszałek domu, niosący gorącą kawę, w małych porcelanowych kubkach, opartych na misternych śrébrnych podstawkach, które znów stoją na pysznéj tacy, zasłanéj białą jedwabną szatą i świécącą się od złotych haftów wstęgą.

Przy publicznych posłuchaniach jest to wszystko li formalnością. »Honor fajki« oznacza uszanowanie, jakie ci chcą okazać. Bierzesz ją do ust, oddajesz, kosztujesz niepełną filiżankę kawy, powstajesz i odchodzisz. Na drugi dzień przybywa czereda służalców, dopominając się o zapłatę. Na prywatnych wizytach umié się cenić więcéj rozkosze fajki. Wtedy popisuje się gospodarz liczbą i pięknością cybuchów i czystością bursztynów okrągłych i bez plamki jak dojrzała syryjska cytryna, niomniéj rzadkim odorem swoich tytoniów, częstémi daniami kawy i delikatną zręcznością, z jaką u niego różana woda z owocowemi sorbetami zmiészaną bywa. W lecie zamiéniają się cybuchy wiszniowe, sprowadzone z Bałkanu, za lżejsze jasminowe z Damaszku lub Aleppu, ubrane w świetne jedwabie i różne śrébrne ozdoby.

Pagórki Laodycei, sławne za czasów Strabona ze swoich win, wydają teraz najwyborniejszy tytoń, znany pod nazwiskiem: *Latakia.* Na nieszczęście nie może on znieść przewozu i wietrzeje już nawet w Aleksandryi. Możnaby go w tym względzie do *Chateau-Margaux* porównać. Tytoń *Gibel* rośnący na sąsiednim pagorzu, podobnego chociaż trochę mocniejszego odoru, jest jakby tęgi *Porto,* który przy okazyi może się dostać bezpiecznie i do Anglii. Jestto faworytalny tytoń Mehmeda Alego paszy Egiptu. Nikt téż lepiéj od Jego Wysokości nie pojął sztuki palenia lulki. Bogaty jego śrébrno-oprawny *szischah* niesie zwykle brunatny nubijski ennuk w złoto-szkarłatnym stroju. Nadworni *cybusznicy,* nie ważą się nigdy nakładać krócéj wice-królewskiéj fajki, niż przynajmniéj pięć minut. Nie tajno bowiem świadomym miłośnikom, jak wiele nadzwyczajnie zależy na umiejętném uładowaniu tytoniu. Co do mnie, mimo wysokiéj powagi jego wice-królewskiéj mości, przenoszę przecież smaczny *Bejrut* nad jego *Dzibel.* Jest to tytoń z okolic starożytnego Berytu, nieco niżéj po nad wybrzeżem, który mi zawsze burgundzkie wino przypomina. Paląc go iskrzy się z lekka i czasem jasnémi niebieskawemi płomykami połyska. Wszystkie te tytonie są ciemnego koloru.

Mają jeszcze i w Turcyi wyborny tytoń. Pochodzi on z Saloniki ze staréj Tracyi. Wygląda na oko blado-żółty i może być przyrównany do bardzo dobréj Madery. Kiedy się uda, to nié ma nic nad niego. Najdoskonalszy knaster smakuje po nim jak licha jałowa trawa.

Sziszah ma niejakie podobieństwo z indyjskim *hukah.* Z jednego i drugiego nie wdymasz samą woń tytuniową, ale zwykle i jeszcze jakieś pachnidła. Podobnież używa się i *nardzilly,* tylko że przy tém cybuch jest ze szkła. Pali się z tych wszystkich gatunków fajek za pomocą różanéj wody. Po należytéj rozwadze przyzna umiejętny i doświadczony znawca piérwszeństwo tureckiemu *cybuchowi.* Potrzeba miéć ich wiele, nie palić nigdy przez dwa dni ciągle z tego samego, odmieniać fajkę przy każdym nowém nałożeniu i uważać, aby cybuch był codziennie czyszczony i myty całkiem wodą z pomarańczowych kwiatów. Co wszystko nadzwyczajnéj pilności wymaga. Ale zbyt wielkie koszta, połączone z utrzymaniem dostatecznéj po temu służby w Europie nie pozwolą nigdy, chyba jakiemu większemu bogaczowi palić tytoń u nas po oryjentalnemu i z zupełném zadowoleniem samego siebie.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 47. i obejmuje: 1) Jak można w zbożu kąkol i inne zanieczyszczające zielska wyniszczyć? 2) Praktyczny rzut oka na niektóre gospodarstwa w obwodach zachodnich i południowych Galicyi. 3) O chowie koni. (Dokończenie). 4) O fabrykacyi mąki. (Dokończenie). 5) Wiadomości czasowe. 6) Literatura. 7) Uwiadomienie: O dalszéj prenumeracie tegoż pisma.

Z Krakowa: Nakładem księgarni A. W. Fusieckiego, świéżo wyszło z pod prasy w drukarni St. Gieszkowskiego dziełko: *Krótki wykład Nomenklatury Chemicznéj polskiéj*, przez Filipa Ner. Waltera, dyrektora prac chemicznych szkoły centralnéj paryzkiéj.

W Warszawie wyszło nowe dzieło pod tytułem: *Myśli o wychowaniu kobiet*, przez E. Ziemięcką.

Powszechna »Gazeta augsburska« opisując okropny pożar w Kazanie, spomina w końcu o sławnych profesorach przy tamtejszym uniwersytecie, między innémi o naszym rodaku Kowalewskim, profesorze języka mongolskiego. Ten mąż światły wydaje słownik mongolsko-rusko-francuzki.

Ostatnia chwila Puszkina. Żukowski przyjaciel zmarłego i najgodniejszy jego spółzawodnik, skréślił ojcu Puszkina ostatnią, smutną chwilę, w któréj się ten poeta z światem i z przyjaciołmi żegnał, równie jak i heroiczną stałość jego, z jaką przy największéj przytomności umysłu ostatnie, cierpienia znosił. Jak się to niekiedy przy skonie wielkich jenijuszów wydarza, tak też i u Puszkina zaraz po jego skonaniu w uniebionych rysach twarzy, odmalowała się cała szlachetność jego duszy, wolna zupełnie od wszelkiéj przymieszki ziemskiéj. Żukowski tak nam to opisuje: »Staliśmy wszyscy około niego w smutném pogrązeni milczeniu. Po upływie chwil kilku zapytałem: »Czy jest jaka nadzieja?«—»Już zakończył«, odrzekł doktor Dohl. (O godzinie trzy kwadranse na trzecią po południu dnia 29go stycznia). Tak cicho, tak spokojnie rozstała się z tym światem jego dusza. Osłupieni boleścią, staliśmy długo w głębokiém milczeniu około niego, nie śmiejąc przerywać téj tajemnicy, którą śmierć przed naszémi oczyma w całéj swojéj uroczystéj świętości dokonywała! — Gdy wszyscy wyszli z pokoju, usiadłem przed nim, i sam jeden patrzyłem długo w oblicze jego. Nigdy nie widziałem na téj twarzy, coby podobne było do tego, co się w téj piérwszéj chwili zaraz po śmierci na niéj wypiętnowało. Głowa jego pochyliła sie cokolwiek; jeszcze przed chwilą konwulsyjnie drgające ręce, leżały teraz spokojnie, jakby po ciężkiéj odpoczywały pracy. Lecz co jego twarz wyrażała, tego żadnémi słowy opisać niepodobna. Było-to dla mnie tak nowe i oraz tak nieznane! Nie byłto ani sen ani marzenie, ani spoczynek; nie byłto ten jenijalny wyraz, który niegdyś temu obliczu tak był właściwy; nie byłato nawet poetyczna, lecz jakaś wzniosła, wielka myśl, jakiś głęboki wid, jakaś zadowolona błogość, jakieś głębokie zaspokojone wiedzenie! Gdym tak na niego patrzył, zdawało się mi, jak gdybym go zapytać się musiał: »Cóż tam widzisz przyjacielu?« — Ach, cóżby mi on był odpowiedział, gdyby choć na chwilę tylko do życia mógł powrócić! Taki moment w życiu naszém, jest zaiste wielkim momentem. Śmiało powiedzieć mogę, żem w téj chwili widział oblicze saméj śmierci, oblicze boskie, tajemnicze, bez wszelkiéj zasłony. Jakąż ona pieczęć na nim wycisnęła! Była-to pieczęć święta, wzniosła, jéj własnéj tajemnicy! Zapewniam cię ojcze, żem na jego twarzy nie widział nigdy tak głębokiéj, tak szczytnéj, tak uroczystéj myśli. Rzecz niezawodna, że myśl ta mieszkała i dawniéj w jego duchu i wzniosłéj naturze jego była właściwą; ale w całéj czystości swojéj wystąpiła aż wtedy, gdy za dotknięciem śmierci, wszelka ziemskość od niego ustąpiła. Taki był skon naszego Puszkina!«

Ostatni pokojowiec Napoleona umarł niedawno w Malmaison na apoplexyję. Królowa Krystyna, teraźniejsza właścicielka tego letniego pałacu, kazała go własnym kosztem jak najspanialéj pochować.

Dyrekcyję zamkniętego już od dwóch miesięcy teatru *Vaudeville*, poruczono teraz panu Ancelot; jestto po raz pierwszy, że jeden z czterdziestu członków akademii francuzkiéj, jako dyrektor teatru występuje.

Maszyna do robienia zégarów. Pewien zégarmistrz w Londynie wynalazł maszynę, która w krótkim czasie 300 zégarów zrobić może. Najbieglejsi zégarmistrze londyńscy, uznali te zégary za tak doskonałe, jakie tylko w tym kunszcie kiedy zrobiono. Rząd tamtejszy, który jeneralnemu prokuratorowi polecił rozpoznanie, zamyśla ten ważny wynalazek zachować w sekrecie, a zégarmistrze angielscy spodziewają się za pomocą téj maszyny pognębić spółzawodnictwo na całéj ziemi i sami jedni pozostać fabrykantami zégarów.

Zastósowanie dagerotypii do sztuki scenicznéj. Jak wielkie postępy w rozwijeniu się swojém czyni dagerotypija, okazuje się z tąd, że londyński fotograf czyli kalograf Claudet, zastósował ją do schwytania i odwzorowania ruchoméj natury, to jest baletu tamtejszéj opery włoskiéj. Postać i twarz, gra mimiczna i giestykulacyja, owo zgoła całe bogate, rozliczne pasmo powabnych pozycyj i ruchów wielkich tancerek przedstawione są w obrazach dagerotypowych.

Napis pod orłem na wieży Ś. Szczepana nowo-restaurowanéj:

SUB UMBRA ALLARUM TUARUM
VIENNA
INTER MULTAS URBIUM PRINCEPS
QUIESCIT
FELIX, SALVA, AC SECURA
SEMPER
FLORENS.

(W cieniu twych skrzydeł spoczywa Wiedeń, z wielu miast najpierwsze szczęśliwe, błogosławione i bezpieczne nieprzerwanie kwitnące.) *Franciszek Pitter.*

Królowa Wiktoryja może teraz z większą prawdą niżli Karol V. powiedziéć, że w jéj państwie nigdy słońce nie zachodzi. Bo gdy ostatni promień słońca zajdzie za murami Quebeku, już złoty promień poranny jaśnieje przez trzy godzin w Port-Jackson w Nowéj Holandyi; a gdy dzienna gwiazda zanurzy się w głębią za morzem Superior, jasne oblicze jéj całuje już wody Gangezu i wyspę Cejlon, a znaczną chwilę w poprzód oświéca Port Ningpo w Chinach, gdzie angielska bandera powiewa.

Czyn szlachetny. Franciszek Poyer, woźnica u właściciela wynajmującego powozy, ma żonę i czworo dzieci, prowadzi ciągle nienaganne życie i utrzymuje się tylko z szczupłego zarobku. W roku 1826 pewna młoda dama dała mu synka na wychowanie; za piérwszy miesiąc zapłacono naprzód; lecz potém długo nie pokazała się matka, a opuszczone dziécię pozostało ciężarem Poyerowi, który własne dzieci zaledwo wyżywić zdołał. Jednakże Poyer nie namyślając się długo, zatrzymał je przy sobie, a dla opędzenia powiększonych wydatków, odmawiał sobie codziennie śklanki wina. — Po dwóch leciech pojawiła się matka, ale w zamiarze odebrania dziécięcia. Poyer rozstaje się z niém z żalem, i nie żąda zapłaty; lecz gdy po upływie dni kilku poszedł dowiedzieć się o zdrowiu swego wychowańca, niegodziwa matka zmięszana, jąkając się odrzekła, że go oddała w okolicę Tours do majętnych krewnych, ktorzy przyrzekli zająć się jego wychowaniem. Poyer zaczął być niespokojnym, domyśliwał się, że to wszystko jest kłamstwem, a dowiadując się urzędownie, przekonał się, że w wymienionym czasie żadnego dziécięcia do Tours nie przywieziono. Zacny

ten człowiek nie poprzestał poszukiwać, i dowiedział się nareszcie, że pomienione dziecię pod domem prefektury policyi podrzucone, z tamtąd do domu sierot się dostało. Poyer udaje się niezwłocznie do instytutu, poznaje swego wychowańca, znajduje go wynędzniałym, chorym i w niebezpieczeństwie utracenia wzroku. Chce odebrać dziecię, lecz ustawy instytutu sprzeciwiają się temu. Gdyż na mocy tych ustaw przyjmując za swoje takie dziecię, należy mu na czas jego pełno-letności kontraktem 250 franków zapewnić. Co tu począć? Stroskany Poyer naradza się z swoją rodziną. Rodzina przystaje na jego zamysł, i uzyskuje dekret, którym małego przyznano za syna Poyera. By oszczędzić 250 franków, zaczął Poyer znowu odmawiać sobie wiele potrzeb, ale z jakąż radością przyprowadził dziecię do swojéj żony! Za jéj staraniem odzyskał chłopiec dawne zdrowie, a po dwunastu leciech oddali ci zacni małżonkowie przybranego syna na naukę do stolarza. Poyer ma teraz lat 74, ale szlachetny czyn jego nie poszedł w niepamięć; akademija francuzka wyznaczyła mu na ostatniém swém posiedzeniu trzy tysiące franków nagrody.

Znany Cimarosa zalécał się równie skromnością jak i talentem. Jednego dnia pewien malarz chcąc mu pochlebić, rzekł do niego, że on Mozarta przewyższa. — »Co, ja mój panie?« odrzekł kompozytor. »Powiedz mi wpan, cobyś sobie pomyślił o człowieku, któryby cię zapewniał, że jestes większy malarz, niż Rafał?«

Właścicielka pułku. Wielka księżna Maryja Aleksandrówna, małżonka Wielkiego księcia, następcy tronu rossyjskiego, została rozkazem cesarskim z dnia 12go września 1842, mianowaną naczelnikiem pskowskiego pułku kirysyjerów.

Chorobę morską przypisywano dotychczas li tylko kołysaniu się okrętu na morzu. Atoli sławny geolog Hugi odbywając niedawno podróż po Kalabryi, przekonał się, że jest jeszcze inna przyczyna téj choroby. Na drodze z Bernaldy do Tarentu idą muły brzegiem po piasku, który ciągle morze płócze falami. W całej téj podróży dął wiatr wschodni, a zatém z morza na ląd, a geolog Hugi jadąc wierzchem, nabawił się gwałtownéj choroby morskiéj. Jakoż przewodnicy jego zapewniali, że każdy wędrowiec zapada na téj drodze na téż samą chorobę, gdy wiatr z morza na ląd, a nigdy, gdy z lądu na morze wieje. A więc Hugi jest tego zdania, że choroba morska nietylko z samego kołysania się okrętu, ale z właściwego stosunku atmosfery morskiéj powstaje. Być może, iż ciągle pluskanie fal pod nogami, co także oko utrudza, wielce się do tego przyczynia.

Paryzcy filologowie łamią sobie głowę nad odgadnieniem, co oznacza wyraz: *Alaaf*, którego niedawno użył król pruski w znanéj mowie przy założeniu węgielnego kamienia na wieżę kolońską. Może i u nas ten wyraz nie jest znany, dla tego zamieszczamy tu objaśnienie: *Alaaf* znaczy w narzeczu kolońskiem: Niech żyje!

Poczciwość. Po zdobyciu szturmem Regensburga, udał się Napoleon brzegiem Dunaju w pochód ku Wiedniowi. Niedaleko Mautern na przeciwnym brzegu Dunaju, spostrzeżono austryjacki korpus. Napoleon chcąc się dowiedzieć, ażali takowy należy do armii Arcyksięcia Karola, kazał oficerowi z sześciu ochotnikami śród burzliwéj nocy, na drugą stronę się przeprawić. Oddział ten pojmał trzech żołnierzy, których dla wybadania przed Napoleonem stawiono. Jeden z nich okazał się być bardzo pomięszanym i smutnym. W dalszém badaniu okazało się, że kapitan jego powierzył mu sakiewkę z pieniądzmi, i dla tego martwi się, że jest pojmany, gdyż na niego paść może podejrzenie, że dobrowolnie przeszedł. Napoleon rzekł na to: »Cnotę należy cenić, gdzie-kolwiek ją znajdziemy, dla tego niech odwiozą tego człeka na brzég przeciwny, by się z podejrzenia oczyścił.«

Scena w restauratorni. W jednéj z restauratorni paryzkich wydarzyła się niedawno szczególniejsza scena. Dwóch panów bardzo porządnie ubranych, siedząc w wesołym humorze u stołu, zajadało z wielkim apetytem smaczne i drogie potrawy. Aż oto niespodzianie wchodzi do sali jakaś młoda, przystojna, ale blada i bardzo skromnie ubrana dama, prowadząc dwoje dzieci za rękę. »Co pani będziesz jadła?« zapytał posługacz restauratorni. »To, co tym dwóm panom z potraw pozostanie!« odrzekła dama donośnym głosem. Wtedy dowiedziano się, że jeden z tych wesołych sybarytów był małżonkiem téj nieszczęśliwéj damy i ojcem dwojga biednych dzieci!

Pan Balzac i dészczochron. Jednego dnia podczas tego-rocznéj słotnéj jesieni, wyszedł z domu pan Balzac, który podobnie jak wszyscy wielcy jenijusze naszego czasu, dészczochronów nie cierpi. Wszelako deszcz padał tak rzęsisty, że Balzac nie mogąc znaleźć fijakra, pod pierwszą lepszą bramą schronić się musiał. Nagle spojrzawszy na dom naprzeciwko, spostrzegł damę, która od czasu do czasu odsłaniając u okna firankę na niego poglądała. »Dama ta jest bardzo ciekawa«, pomyślił sobie w duchu pan Balzac, »ale oraz bardzo przystojna«, i zaczął sobie poprawiać kołniérz, chustkę i kapelusz. Twarzyczka u okna pokazywała się coraz w piękniejszem świetle tak, iż Balzac wpadał na rozmaite mysli. Przypomniał sobie, iż tę damę widział na operze, i zaczął już dziękować niebu za deszcz, który tak pomyślną sposobność mu nadarzył. Ale jakże się nie zdziwił, gdy ujrzał służącego, który wyszedłszy z dészczochronem z jéj domu, przystąpił ku niemu i rzekł: »Moja pani przysyła panu dészczochron.« — Balzac całkiem zmieszany, nic pyta bynajmniéj człowieka, bierze dészczochron, kłania się jak najuprzejmiéj damie, która ciągle jeszcze zaglądą z za firanki u okna, i oddala się z radośném przekonaniem odniesionego zwycięztwa. Nazajutrz wstaje rano, wdziewa czarny frak, kupuje sobie białe rękawiczki, bierze dészczochron i spieszy oddać pięknéj damie wizytę z podziękowaniem za życzliwość. Ale godzina wizyty jeszcze nie nadeszła. Balzac pomyślił sobie, iż lepiéj będzie zatrzymać stary parasol na pamiątkę, a damie kupić nowy. Nareszcie w południe kazał się zameldować, i wszedłszy do pokoju, doręczył damie dészczochron. Dama wziąwszy go, postawiła na stronie jak by nie postrzegłszy zamiany. Po krótkiej rozmowie, pan Balzac ośmielił się dać do zrozumienia, że mu dama nie bez jakiegoś zamiaru ten dészczochron przysłała. Dama odgadła myśl jego i rzekła: »Posyłając wpanu ten dészczochron, miałam w saméj rzeczy pewien zamiar, którego przed wpanem nie zataję. Oto powiém wpanu prawdę, że wtedy, gdyś stał na przeciwko pod bramą, czekałam na pewną osobę, która właśnie nadejść miała; a żeś mnie żenował, więc chcąc się pozbyć wpana, posłałam mu dészczochron, ażebyś się oddalił.« — Pan Balzac usłyszawszy to, ukłonił się i poszedł jak niepyszny.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.